Nr. 4. Kraków, w kwietniu 1901 r. Rok II.

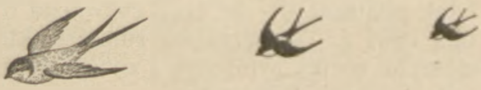


Pismo
dla kobiet wiejskich
wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor.	zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal.	pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, I. p.



ALLELUJA!

Hej! utkana ze złota słonecznych promieni,
W wieńcu kwiatów na skroni i z ptaków szczebiotem
Wschodzi wiosna błyszcząca za wiejskim opłotem.
Purpurą zorzy młoda twarz jej się rumieni,
Gdy wstaje rano; cudny wzrok jej uśmiechnięty
Sypie blasków radości lśniące dyamenty.

* * *

Hej! wszystkie się teraz zbudzą senne zioła i swe korony zwrócą do światła! Lasy rozbrzmieją tonami ptasiego śpiewu, powietrze zaroi się od motyli i przepełni zapachem rozwiniętych pęków. Cały świat jakby śpiewał: Alleluja! Radujmy się!

Radujmy się! — bo oto nadeszła wiosna, rozpowiła ziemię, umaiła ją w kwiaty, uradowała muzyką ptaków i szumem wody uwolnionej z pęt lodowych.

Alleluja!

I serce ludzkie woła „alleluja!“, bo wraz z wiosną przychodzi dla niego uroczysty dzień Zmartwychwstania Pańskiego.

Przed dwudziestu wiekami — tam, na Golgocie spełniła się największa ofiara: Bóg sam ofiarował się na krzyżu dla zbawienia ludzi.

Zaćmiło się słońce w ową chwilę konania Boga-Człowieka, pękały skały, i strach i groza przeszły przez ziemię, gdy z krzyża Umęczony wyrzekł ostatnie słowa.

Aliści po trzech dniach ten, co był umarły, zmartwychwstał wielki, chwalebny, uwielbiony; Bóg-Człowiek z martwych-powstał.

I rozradował się wtedy świat cały kwiatami wiosny — i z roku na rok ta wiosna przynosi nam pamiątkę Zmartwychwstania Pańskiego.

Wielkanoc! Wielka to była noc, w której z grobu powstał Ukrzyżowany. Nie oparł się mu kamień grobowy i nie ustrzegły straże! Wyszedł mocą swoją i blaskiem rozjaśnił ten wielki świt, który Zmartwychwstanie obwieścił.

* * *

I my za Tobą, o Boże Zmartwychpowstały, chcemy powstać z naszej niemocy i z naszych ciemności. I my ludzie, jak owe zioła mizerne do słońca, zwracamy się do słońca łask Twoich z prośbą o pomoc. Daj nam, o Panie, świt jasny dnia wielkiego dla naszej ziemi, dla naszych miast i siół, dla naszych rodzin i dla nas samych, abyśmy mogli z głębi oczyszczonych serc zawołać: „Alleluja! Radujmy się, bo oto zmartwychpowstajemy z naszych błędów, ułomności i z ciemności, a garniemy się do światła, któreś Ty Boże w miłości swej światu udzielił“.

Alleluja!



ŚWIĘTO.

Dech wiosny ziemię przenika,
Niebo się w chabry obleka,
Radosna dzwonów muzyka
Płynie z daleka:

Z palmową wicią w dłoni
Chrystus idzie przez łany
I błogosławi runiom,
Anielski i świetlany.

Lecz ludzie o tem nie wiedzą,
Mgła się ich oczom ścieli,
Nie widzą Chrystusa w bieli
Jak idzie i błogosławi.

A tylko drobne skowronki
Z błękitu zlatują światu,
I złoty jaskier z łąki
Oczyma nań patrzy kwiatu.

Czasem dzieciątko małe,
Na ręku matki niesione,
Ukaże rączką w tę stronę,
Gdzie idzie Chrystus świetlany
Z palmową wicią w dłoni...

Tak w wiosnach płynie przed nami,
Białą jasnością w dal świeci,
A tylko nieba oczami
Ptak, kwiat Go widzi i dzieci.

W kwietniu 1901.

A. E. Bandrowska.

Powstanie narodowe w r. 1863 i 1864
i sprawa ludowa.

(Dalszy ciąg).

Na mocy układu z Wielopolskim, rząd rosyjski pozwolił na założenie szkoły głównej w Warszawie i innych szkół polskich, zgodził się na utworzenie rady stanu, rad miejskich i powiatowych i t. d. Wielopolski zatwierdzony w godności namiestnika, chciał zaprowadzić wiele dobrych i pożytecznych zmian, ale przytem postępował zanadto bezwzględnie i dumnie, nie zważał wcale na to, czy to się będzie podobało społeczeństwu. I tak postarał się, że rząd rozwiązał 6 kwietnia 1861 r. Towarzystwo rolnicze, które się cieszyło wielką sympatyą i znaczeniem u narodu, tudzież Delegacyę.

Krok ten nierozważny wywołał wielkie oburzenie u wszystkich. Już następnego dnia zebrały się liczne tłumy z wieńcami kwiatów przed gmachem Towarzystwa rolniczego, a następnie udały się przed dom Andrzeja Zamojskiego, wielce ulubionego prezesa rozwiązanego towarzystwa i tam wzniosły okrzyki na jego cześć. Kiedy nazajutrz 8 kwietnia urządzono ponowną manifestacyę i tysiączna rzesza zanuciła pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła!“, wojsko najezdnicze strzeliło do ludu i mnóstwo ofiar legło we krwi.

Zbrodnie te oburzyły w najwyższym stopniu nawet niektórych uczciwych Moskali. Oficer rosyjski Popow, kiedy wydano rozkaz strzelania do bezbronnego ludu, złamał swą szablę i rzucił ją z pogardą o ziemię; zaś w późniejszym czasie pewien pułkownik, otrzymawszy podobny rozkaz, wystrzałem z pistoletu życie sobie odebrał, byle tylko się nie splamić krwią niewinnych i bezbronnych.

Kiedy dopuszczono się bezkarnie morderstwa ludu w Warszawie dnia 8 kwietnia, było już daleko więcej wojsk moskiewskich w Królestwie Polskiem, sprowadzonych z głębi Rosyi. To też naczelnicy wojskowi i po innych miastach polskich zaczęli sobie postępować z ludnością coraz zuchwalej i surowiej. Ale to wszystko ludzi nie uspokoiło i nie przerażało, owszem przeciwnie, naród, słysząc o tych o pomstę do nieba wołających zbrodniach, burzył się i wyczekiwał tylko sposobnej chwili, aby chwycić za broń i te przywłoki wypędzić tam, gdzie pieprz rośnie.

Dnia 29 maja 1861 r. zmarł na wygnaniu w Paryżu najznakomitszy polski historyk, demokrata czyli przyjaciel ludu, członek Rządu Narodowego z powstania z r. 1831, Joachim Lelewel. Za duszę tego wielkiego patryoty odprawiono w Warszawie po różnych kościołach w pierwszych dniach czerwca uroczyste nabożeństwa żałobne, w których dziesiątki tysięcy ludzi wzięło udział. Nawet żydzi urządzili na tenże cel w 3 swych bóżnicach uroczyste modły ze śpiewami i kazaniami.

Wkrótce potem, bo 15 lipca umarł w Paryżu drugi świadek i uczestnik powstania listopadowego, książę Adam Czartoryski. Nabożeństwo żałobne za jego duszę odprawione w kościele archikatedralnym św. Jana szczelnie zapełnionym, celebrował sam arcybiskup wobec zebranych najwybitniejszych przedstawicieli polskiego społeczeństwa ze wszystkich klas ludności.

Obchody narodowe czyli manifestacye zaczęły się szerzyć szybko po całej Polsce, a nawet i Litwie. Najwspanialej wypadła manifestacya, urządzona w całej Polsce i Litwie 12 sierpnia 1861 r. ku uczczeniu rocznicy Unii Lubelskiej, na mocy której dwa bratnie narody, Polacy i Litwini, przed niespełna trzystu laty połączyli się wspólnym węzłem miłości i braterstwa na wspólną dolę i niedolę.

Nader okazałym był pogrzeb arcybiskupa Fijałkowskiego w Warszawie, wielkiego miłośnika Polski; za trumną jego postępowało sto tysięcy osób. W parę dni potem przypadała rocznica śmierci Kościuszki (15 października): znowu tysiące narodu zebrały się w kościołach katedralnym, bernardyńskim i św. Krzyża, i przed tron Stwórcy wzniosła się podniosła modlitwa: „Przed Twe ołtarze zanosim błaganie, Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie!“ Nagle zjawiło się wojsko i otoczyło kościoły, a następnie pod wieczór kiedy ludność nie chciała opuścić świątyń, wyłamało drzwi i przemocą wtargnęło do kościoła. Rozwścieklona ta dzicz z bronią w ręku poczęła wypędzać wiernych. Krew zbroczyła święte miejsca — tysiące zapełniły lochy więzienne. Znieważone świątynie władza duchowna zamknęła.

Okrucieństwa te dokonywane na bezbronnym ludzie, modlącym się o lepszą dolę dla Ojczyzny, wzburzyły nietylko Warszawę, ale wstrząsnęły całym narodem i budziły w nim chęć walki z wrogiem na śmierć i życie. Organizacya tajna coraz bardziej się rozszerzała. Przystępowali do niej nawet wyżsi oficerowie wojska rosyjskiego, bo i im już zanadto było bezprawi despotyzmu carskiego. Organizacyą tą kierował Komitet Centralny Narodowy. — Poczęto gromadzić broń i pieniądze.

Bezwiedni zwolennicy powstania, tak zwani „Czerwoni“, rozwinęli bardzo energiczną działalność, tajna orgnizacya liczyła już dziesiątki tysięcy członków.

Rząd widział, co się święci i starał się przeciągnąć na swoją stronę stronnictwo szlacheckie czyli tak zwanych „Białych“. Jak na czele Czerwonych stał Komitet Centralny, tak Biali mieli swoją tak zwaną Dyrekcyę. Otóż ta Dyrekcya zwołała zebranie około trzystu szlachty z różnych okolic kraju, a ci uchwalili, że wtedy będą rząd popierali i będą się starali kraj uspokoić jeśli rząd połączy z Królestwem Polskiem także Ruś i Litwę. — Rząd o tem ani słyszeć nie chciał.

Wielopolski widząc, że znikąd nie ma poparcia w swoich planach, które zresztą były bardzo rozumne i mogły mieć nader doniosłe znaczenie dla dobra narodu, postanowił za wszelką cenę rozbić organizacyę powstańczą i wtedy przyszła mu nieszczęsna myśl oddania młodzieży polskiej w sołdaty. Przeszło 70 tysięcy młodych ludzi oderwać miano od rodzin i ziemi ojczystej i zapędzić w najdalsze kraje wschodniej Rosyi, aby tam w szeregach wojska moskiewskiego byli narzędziem do uciskania i gnębienia innych ludów. Do poboru przeznaczono tych, o których przypuszczano, że należą do organizacyi powstańczej, podczas gdy według ówczesnej ustawy o wzięciu kogoś do wojska rozstrzygał los.

Branka miała się odbyć 17 stycznia 1863 roku w Warszawie, a 27 stycznia w całem Królestwie.

Wiadomość o tem spadła jak grom na naród. Młodzież wołała, że woli na miejscu walczyć z wrogiem o najświętsze prawa i raczej zginąć, niż dać się porwać na odległy wschód i tam marnować w służbie despoty kwiat życia swego. Zewsząd domagano się ogłoszenia powstania. Położenie było nadzwyczaj przykre, wprost rozpaczliwe. — Do powstania właściwego, do walki zbrojnej nie było jeszcze wszystko przygotowane, a nawet bardzo mało, bo przedewszystkiem nie było broni, nie było dosyć pieniędzy, mroźna pora zimowa była również bardzo niesprzyjająca, a tu zwlekać było prawie niepodobna. Wszystkiemu jeszcze mógł zapobiedz jeden Wielopolski, postarawszy się o odwołanie branki; ale nie po nim się tego spodziewać. Jemu właśnie o to chodziło, aby organizacyę zniszczyć lub powstanie jak najwcześniej wywołać, bo wtedy je Moskale łatwo zgniotą, a on już później będzie mógł swobodnie według swych planów rządzić.

Znaczna część członków Komitetu Centralnego była za tem, aby wybuch powstania odroczyć, ponieważ zaś Komitet wywiedział się przy pomocy tajnej narodowej policyi, którzy z pośród młodzieży byli wyznaczeni do poboru, więc tych wszystkich uwiadomił o zamierzonej brance i postanowił ich porozsyłać do różnych okolic kraju, aby ich tym sposobem uchronić od poboru. Wielopolski jednak przyspieszył brankę i już w nocy z 14 na 15 stycznia siepaki moskiewskie wpadały do domów i zabierały przemocą młodych ludzi, wyznaczonych do poboru. Zaraz potem w urzędowym *Dzienniku powszechnym*, wydawanym przez Wielopolskiego, ukazał się artykuł, że młodzież z radością szła do wojska carskiego, jako do szkoły porządku.

To jadowite szyderstwo, to naigrawanie się z bólu własnego narodu, przeważyło szalę. Nawet ludzie najrozmajtsi poczęli się domagać od Komitetu Centralnego Narodowego, aby wydał hasło do walki, gdyż tylko krwią może być taka obelga zmazana.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DYM.

Gorzała ona wprost facyatki długim szeregiem oświetlonych okien, huczała wewnętrzną pracą płuc swoich olbrzymich, szczękała żelaztwem, dźwięczała biciem młotów, zgrzytała zębami pił, syczała żądłami topionych metalów. Dym, który teraz na tle głębokiego granitu niebios walił z jej komina, płomienny był, ogniami ziejący, snopy iskier ciskał jak race.

Szerokie łuny od niego skróś nieba szły i het, precz, odbijały wielkie ciche zorze....

Patrzała na nie wdowa w zadumaniu.

Z zadumy tej wyrywało ją gwizdanie kosa, który rozbudzony światłem, bijącem z fabryki w okienko, zaczynał wycinać swoje kuranty. W izdebce robiło się weselej, ogień trzeszczał na kominku, a kos darł się aż do ogłuszenia. A kiedy na niebie księżyc w pełni stanął, całe ono widzenie ogniste topniało w blaskach miesięcznych.

Późnym wieczorem dopiero wracał syn, i od progu już znowu wołał:

— Mamo, jeść!...

A razem z tą młodą, silną postacią wstępowało w progi izdebki wesele, śmiech i swoboda. Z mniejszym już teraz pośpiechem posilał się chłopak, opowiadał przez chwilkę to i owo rozpytującej się go o ubiegły dzionek matce, poczem zaczynał szeroko ziewać, przeciągać się, kos nawet nie bawił go już w takiej chwili.

— Idź spać, synku, idź spać! — mówiła matka, głaszcząc go po głowie. — A to jutro do dnia ci znów trzeba....

— Pójdę mamo... — odpowiadał sennym głosem — zmordowałem się tak, że to ha!

— A pacierz, synku, zmów — przypominała jeszcze.

— Zmówię, mamo.

Całował jej rękę, klękał przed swoim tapczanem i schyliwszy głowę na złożone dłonie, odmawiał szybko półgłosem „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś“, tu i owdzie przerywając modlitwę potężnem ziewnięciem, poczem bił się hałaśliwie w piersi, żegnał z rozmachem i zdjąwszy pośpiesznie odzież, rzucał się na twarde posłanie.

Natychmiast też prawie usypiał, a w izdebce słychać było dawno jego równy, głęboki oddech, podczas kiedy matka długo jeszcze szeptała zdrowaśki przed poczerniałem, ze złocistego tła wychylającem się obliczem Panny Najświętszej.

Nareszcie lampka gasła, kos przestawał się trzepotać po klatce, uciszało się wszystko, aby znów jutro o brzasku się zbudzić.

Z tem budzeniem była zawsze bieda. Wdowa sypiała tym snem starości krótkim, czujnym, jakby oszczędzającym godzin życia przed wielkiem zaśnięciem w mogile.

Ze snu tego budziła się po drugich kurach zaraz, na długo przed pierwszą gwizdawką fabryczną, i zwlokłszy się z pościeli, dreptała po izdebce, szykując polewkę dla syna i szepcąc godzinki. W okienku stała wtedy wielka i cicha gwiazda zaranna, wprost na twarz uśpionego chłopca świecąca. Matka coraz to na twarz tę powiodła oczyma. Radaby już zbudziła jedynaka swego, ale głębokie uśpienie chłopca wstrzymywało ją.

— Niech ta! — szeptała półgłosem. — Niech ta jeszcze ździebluchno pośpi....

Dopiero kiedy się rozległ przeraźliwy świst puszczonej pary, wołała na chłopca:

— Marcyś! A!... Marcyś! Wstawaj, synku! gwiżdżą....

Chłopak odwrócił głowę do ściany.

— To kos mamo... — mówił wpółprzytomnie.

— Ale! — kos tam! We fabryce gwizdają, synku, nie kos!

Przeciągał się, nakrywał na głowę, mruczał, ale matka nie ustępowała. Nocny dyżur się kończył, kotłowy na swojem miejscu pierwszy stanąć musiał przed robotnikiem jeszcze. Powtarzało się to cały tydzień boży, niedzieli nie wyjmując nawet.

Ale jednego razu, kawał jeszcze do ranka było, chłopak się z krzykiem ze snu porwał sam i na pościeli siadł.

Matka już była przy nim.

— Co to? Co ci, synku, co? — pytała troskliwie.

Nie odpowiadał. Patrzył na nią szeroko otwartemi oczyma, usta miał drżące, czoło w zimnym pocie. Rozpięta na piersiach koszula podnosiła się od mocnych, głośnych prawie uderzeń serca.

Objęła go ramionami matka.

— Co ci to synku, co ci to? — pytała, tuląc chłopaka, jakby małe dziecko.

Długo uspokoić się nie mógł.

— Nic, mamo — przemówił nareszcie z widocznym wysiłkiem — nic.... Tylko — śniło mi się... że... piorun uderzył we mnie.

Wdowa ścierpła. Ale nie dała tego poznać po sobie synowi. Chciała przemówić, głos uwiązgł jej w piersi.

Chłopak siedział na tapczanie sztywny, prosty, patrząc przed siebie wystraszonym wzrokiem.

— Piorun, mamo — mówił cichym, urywanym głosem — taki czerwony, straszny jak smok. Na piersi mi padł, mamo... taki straszny... czerwony....

Umilkł i dyszał głośno.

Wdowa opanowała się jakoś.

— Co tam, synku! — mówiła, głaszcząc go po rozpalonym policzku. — Co tam!... Sen mara, Bóg wiara. Co tam, synku!

A gdy chłopcu głośno zaszczękały zęby, przysiadła przy nim, przycisnęła głowę jego do swych wyschłych piersi i tak go kołysała, jak kiedy niemowlęciem był.

Chłopak się ukoił, utulił wreszcie i na poduszkę opadł.

— Niech mama już idzie — rzekł — niech mama idzie. położy się.... Ja usnę....

Ale nie usnął. Leżał na wznak, z otwartemi szeroko oczyma, wpatrzony w gasnące na wschód nieba gwiazdy.

Spojrzała na niego raz i drugi.

— A czemu nie śpisz synku? — spytała.

— Nie mogę, mamo... — odpowiedział cicho, skarżącym się głosem.

Podeszła i siadła przy nim.

— Nic się nie trap, synku! — przemówiła. — Nic się nie trap! Albo to na to ten Pan Bóg miłosierny pioruny w niebie chowa, żeby zaś niemi wdowie niebogiej jedynego synaczka ubijać? Nie da tego Pan Jezus i ta Matka Przenajświętsza.... A ja ci to powiem, że piorun wesele znamionuje, kiedy się kawalerowi, albo pannie śni. Ot co, widzisz, piorun znamionuje.... Przecie sennik mam, to wiem.

Mówiła to z uśmiechem, wesoło niemal, ręką wyschłą po czole jego wodząc i włosy mu gładząc, aż chłopak dobrej myśli począł być i też się uśmiechnął.

— To mama mówi, że wesele? — spytał.

— A przecie, że nie co! Wesele, huczne wesele....

Zamyślił się chłopiec, a po chwili rzekł:

— To ja już wstanę, mamo....

— Wstań synku, wstań... Zgotuję śniadanie, jak przejesz, to cię to odejdzie.

Jakoż odeszło. Weselej nawet było tego ranka, niż zwykle w izdebce, bo chłopak czasu dość mając, jedną po drugiej piosenkę na prześcigi z kosem gwizdał, aż ptaszysko zachrypło i kiedy przyszło do „Zosi, co jej się chciało jagódek“, gwizdało tak żałośnie, jakby kto przez nos śpiewał. Uśmiał się Marcyś, uśmiała się matka, i tak się w radości rozstali. Kiedy wyszedł, wdowa stanęła przy drzwiach i nasłuchiwała oddalających się kroków. Lekkie były, raźne, swobodne, zwyczajnie młode nogi.... Nawet spaczone i spróchniałe schody nie skrzypiały dziś tak

jak zazwyczaj. Dopiero kiedy chłopak drzwi za sobą zatrzasnął, rzuciło się w niej serce jakimś nagłym strachem, tak łoskot ich był głuchy, podziemny i takiem przeraźliwem echem odbił się w pustych sieniach. Podbiegła do okienka, aby wyjrzeć za synem.

Szedł lekko, śpiesznie, z podniesioną głową, a kiedy miał już przejść furtkę w fabrycznym murze, odwrócił się i spojrzał w górę. Może w okienko, a może tak sobie....

W chwilę później gęsty, czarny dym walił z fabrycznego komina.

Godziny upływały. W schludnie sprzątniętej izdebce zrobiło się cicho; stary zegar z jaskrawą różą na pożółkłej tarczy cykał opieszale na ścianie, kos próbował najweselszych kurantów, pociesznie walcząc z swym ochrypłym głosem, a wdowa może z myślą o owym śnie syna, co to wesele znamionował, przeglądała swe odświętne odzieże.

Naraz rozległ się huk straszliwy. Zatrzęsły się ściany, posypał gruz z komina. Okienko ze szczękiem wypadło. Wielki, iskrzasty słup dymu buchnął w niebo razem z fontanną cegieł i wielkimi odłamami rozwalonego komina, wypełniając izbę przeraźliwym blaskiem. Wdowa, jak stała, tak skamieniała słupem. Ani jednego krzyku nie wydały jej zmartwiałe usta. Tylko się siwe włosy podniosły nad czołem, tylko rozszerzone źrenice zbielały jakby u trupa, nagłą jakąś zgrozą....

Może nawet nie słyszała dzikiego wrzasku, jaki bił z ulicy:

— Kotłowy!... kotłowy zabity!

. . . .

Długie jeszcze potem lata siadywała w tem samem okienku, patrząc osowiałym, mętnym wzrokiem na fabryczny komin, z którego biły w górę sine słupy dymu.

Dym ten wszakże nie przybierał już teraz dawnych rozlicznych kształtów, tylko zawsze zamieniał się w mglistą postać jej drogiego chłopca. Zrywała się wtedy ze stołka i wyciągała drżące, wyschłe ręce. Ale mglistą postać wiatr unosił i rozwiewał ją gdzieś w błękitach.

Marya Konopnicka.



Uwagi o wychowaniu.

(Ciąg dalszy).

Aby osiągnąć dobry wynik swojej pracy, nie wystarczy sam zapał i sama chęć dobra; obok nich musi mieć człowiek wytrwałość, którą doprowadzi do końca zaczęte dzieło. Wytrwałością dokonują się największe dzieła; bez wytrwałości upadają najlepsze!

Koniec dzieło chwali — mówi przysłowie — a do końca dobrego i do chwały prowadzi wytrwałość!

Świat Boży to księga mądrości! W niej nam się uczyć trzeba. Oto patrzmy na drobną mrówkę. Dźwiga ona drzazgę większą od siebie. Już jest blisko celu, ale ciężar za wielki na jej drobne siły, przeważa ją i mrówka z drzazgą drzewa leci w dół. Nie zaprzestaje jednak pracy, podnosi raz, drugi i idzie w górę. I znowu to samo. Już była blizką szczytu, ale siły ją znowu opuściły i mała mrówka runęła. Cóż jednak robi wytrwała pracownica? Powraca trzeci raz, wyszukuje swój ciężar i dźwiga go na nowo. A gdy i za trzecim razem nie doszła do celu, powtarza swój trud znowu i znowu, aż za dwudziestym i którymś razem staje u celu i składa swoje brzemię na miejsce przeznaczone.

Cóż nam za nauka płynie z tego przykładu? Nauka wytrwałości!

Bez tego przymiotu najlepsze chęci nasze na cóż się zdadzą? W cóż się obrócą nasze piękne zamiary, nawet nasz zapał do pracy, jeśli go nie poprze mrówcza wytrwałość. A u nas szczególniej brak tej wytrwałości. Dużo jest dobrych zamiarów, dużo nawet pięknych myśli, ale cóż, kiedy niema silnych, wytrwałych rąk, któreby doprowadziły nasze chęci do celu.

I po miastach i po wsiach, ile to ludzie pięknych snują projektów — „trzebaby to zrobić, i tamto, spłynie z tego taka a taka korzyść“. W pierwszej chwili z zapałem się garniemy, ale cóż, praca ciężka i zawód nas niejeden w niej spotyka. I oto opadają ręce, chęć słabnie. „Dam spokój“ — powiada sobie człowiek — „nie dam rady“. A dlaczego? bo niema wytrwałości!

I tak ginie dobra chęć, dobry zamiar — człowiek gnuśnieje, przestaje wierzyć w swoje siły, a narzeka na biedę, silniejszą od niego.

Źle jest, brak nam wytrwałości; więc uczmy się jej sami i uczmy dziecko tej cnoty

od najwcześniejszej młodości. Dziecko z natury swojej już ma pociąg do coraz nowych rzeczy i pociąg ten, ta ciekawość dobrą jest, gdy prowadzi do wzbogacenia umysłu coraz nowemi wiadomościami. Ale uważać trzeba, aby ten pohop do nowości nie zniszczył w dziecku wytrwałości. Dlatego to godzić trzeba jedno z drugiem. Niech dziecko się garnie do dobrych, nowych rzeczy, ale niech będzie wytrwałe w tem, co rozpoczęło.

Dlatego to rodzice na każdym kroku powinni przestrzegać swoje dzieci, aby wytrwale szły do zamierzonego celu, czy to w pracy, czy nawet w zabawie.

Masz się nauczyć czego synu, to się ucz wytrwale. „Zacząłeś jaką pracę, to ją skończ. Zrobiłeś jakie dobre postanowienie, to je wypełnij. Nie ustawaj w pół drogi i w pół rozpoczętej pracy. Idź wytrwale naprzód, a wytrwałością w pracy dużo dokażesz.“ Tak powinni pouczać rodzice dzieci, a przedewszystkiem jak wszędzie tak i tu, powinni sami dawać dobry przykład wytrwałości.

* * *

Kto umie szanować cudzą własność? Człowiek uczciwy — odpowiecie mi Szanowne Czytelniczki. Tak, prawda, człowiek uczciwy przedewszystkiem, ale także i taki, który nauczył się szanować swoją własność. Kto nie szanuje swego, ten i cudzego nie potrafi uszanować. Prawda, że są ludzie, którzy o swoje dbają, a drugiemu, gdzie tylko mogą, szkodę wyrządzą, czy to w polu, czy w ogrodzie, czy w sadzie, czy przy kupnie, czy sprzedaży.

Ale są znowu i tacy, którzy dlatego nie szanują własności cudzej, że ich nie nauczono dbać o swoje. Wychowanie powinno dziecko zaprawić do poszanowania cudzej i swojej własności.

„Cudza własność jest święta, tknąć się jej nie godzi“, bo to grzech, bo to plama na uczciwości człowieka, na jego honorze! Rodzice przyświecać powinni w tym względzie jasnym przykładem. A ileż to razy dzieje się przeciwnie. Ileż to razy rodzice patrzą przez palce, jak ich synalek zbija jabłka w sadzie sąsiada, albo zapędza krowę na cudze pole, albo ze szkoły przynosi jakieś cudze pióra lub ołówki.

„Sprytna sztuka“ — powiadają nieraz — „tak się uwinął, że go nikt nie dojrzał“. Ej, ostrożnie z takiemi słowami, ostrożnie! A Bóg, który wszystko widzi, nie dojrzał? A sumienie gdzie? A co to wyrośnie z takiego łobuza, który się od małego ćwiczy w nieposzanowaniu cudzej własności?

Czyście się kiedy zastanawiali nad tem, ile to ludzi karze prawo ciężkiem więzieniem za różne kradzieże i oszustwa? Kto wie, czy niejeden z tych ludzi nie stał się zbrodniarzem tylko dlatego, że wtedy, gdy był dzieckiem i czas był na jego naukę, ci, co go mieli wychowywać, przez palce patrzyli na dziecinne zbytki.

Powiadają, że sprytnie się urwisz uwinął? Tak? a czemuż tego sprytu nie pokaże w czem innem? Ma spryt; o, dużo lepiej będzie, gdy go użyje w dobrem, a nie w robieniu szkody drugim.

Ale taksamo, jak trzeba uczyć poszanowania cudzej własności, tak trzeba uczyć szanować i swoje. W dobrem gospodarstwie nic nie idzie na marne, nic się nie niszczy bez potrzeby. Dziecko musi się tego bardzo wcześnie nauczyć. Ono powinno umieć szanować swoje książki i zeszyty, i ołówek, i pióro. Nic nie wolno zniszczyć na darmo, nic nie wolno zmarnotrawić, bo każda rzecz nosi na sobie ciężką pracę ludzką. Czy to okruszyna chleba, czy drobny kawałeczek papieru czy nitki, nic się nie wzięło samo. Ktoś musiał pracować nad tem, i w każdej najmniejszej rzeczy jest zamknięta praca! Niechże się dziecko uczy szanować tę pracę, a wtedy kiedyś i swoją potrafi samo ocenić i drudzy ją ocenią. Niech się uczy szanować swoją i cudzą własność, jeśli chcecie, aby wyrosło na rządnego gospodarza lub gospodynią.

* * *

Jak zgubne są skutki niewstrzemięźliwości, każdy z nas wie. Przebrana miarka w jedzeniu i piciu rujnuje zdrowie, niszczy siły, robi człowieka gorszym od nierozumnego bydlęcia, boć przecie zwierzę nawet nad miarę nie przyjmie pokarmu. U dzieci często daje się spostrzegać łakomstwo. Dzieci łakome są na słodkie rzeczy, na owoce, nieraz nawet na byle co, byle pchać w siebie.

Jest to bardzo brzydka wada. Trzeba się starać usilnie wykorzenić ją w dzieciach. A w jaki sposób? Przedewszystkiem uwagą, nakazem i pouczeniem. Uważać więc trzeba, aby dziecko nie jadło łakomie, ale w miarę. Gdy zaś dziecko dorwie się czegoś takiego, co dla jego zdrowia jest wprost szkodliwe,

trzeba mu to zakazać albo poprostu odebrać, czy to jakąś popsutą łakotkę, czy owoc niedojrzały. Starsze dziecko należy pouczyć o złych skutkach łakomstwa.

Rodzice nie powinni dzieci przyuczać do picia, bo ciężką tym sposobem biorą odpowiedzialność na siebie. Pijaństwo powinno być obrzydzone dzieciom. Niech się dziecko uczy odwracać od pijanego ze zgrozą i wstrętem, a nie ze śmiechem, bo w pijaku więcej jest obrzydliwego niż śmiesznego.

A kiedy mowa o wstrzemięźliwości w jedzeniu i piciu, pamiętać także należy i o tem, że człowiek powinien być wstrzemięźliwym i w swoich słowach. Ileż to nieraz złego wypłynęło z niepohamowanego słowa, z tego, że w mowie nie było miary. Ile to plotek rośnie z tej niewstrzemieźliwości w słowie, ile obmowy, ile oszczerstwa nawet, a potem ile niezgody i nienawiści. A ile czasu się marnuje, ile dobytku nawet przepada!

A ile to obrazy Bożej taka niewstrzemieźliwa mowa ściąga?

A dzieci słuchają wszystkiego, nastawiają uszy na złe i dobre i uczą się i słów niepotrzebnych i żartów niestosownych.

Więc baczność w mowie, osobliwie wtedy. gdy się mówi przy dzieciach. Niech one nie słyszą brzydkich słów, przekleństw, niech się ich nie uczą. Niech mowa dzieci będzie miłą Bogu i ludziom, jak ten śpiew ptaszęcy na wiosnę.

Od rodziców i od ich postępowania zależy wychowanie dziecka. W tych krótkich uwagach o wychowaniu starałam się Wam, Drogie Czytelniczki, zwrócić uwagę na ważność tej sprawy wobec Boga i wobec waszych dzieci, na dobre skutki starannego postępowania, i na złe następstwa ich zaniedbania.

W waszych rękach Szanowne Matki leży szczególnie ta praca wychowawcza — bo wy najwięcej oddajecie się waszym dzieciom. Niechże was Bóg wspiera w tem dziele! Niech wam doda sił i cierpliwości, bo dużo jej potrzeba w wychowaniu dzieci.

Niech wam Pan Bóg da rozumną miłość waszych dzieci, abyście umiały tak postępować, aby z waszych czynów rósł pożytek i nauka dla dzieci, a przez to chwała dla was. Daj wam Boże wszystkim pociechę z waszych dzieci, a pamiętajcie Drogie Czytelniczki, że ta pociecha sama nie przyjdzie, że trzeba na nią zapracować, wychowując je dobrze i starannie. Choć praca ta ciężka i trudna, ale słodka za nią nagroda.

Niech wam Bóg pomaga!

Aniela Wierzbicka.

Pogadanki gospodarskie.

W dzisiejszych czasach gospodarstwo rolne tak mało przynosi korzyści, iż nieraz pewnie gospodarz nie tyle dnie (bo nie ma czasu), ile noce, trawi na rozmyślaniu: z czego mógłby być zysk taki, żeby to i procenta opłacic i rodzinę w przyodziewek zaopatrzyć i inwentarza nie głodzić, no! a gdyby tak można to i szkolne opłacić za najstarszego syna, który do książki i nauki ma chęci i zdolności. Oj: ma nad czem rozmyślać gospodarz, kiedy to zboże tanie, a inwentarza choć się i przychowa na sprzedaż, to jak się trafi, że granice pozamykane, często ani go sprzedać nie można.

Zatem pomyślmy my gospodynie, czy nie moglibyśmy przysporzyć zysku z gospodarstwa? Wprawdzie gospodarze często z lekceważeniem patrzą na naszą pracę, twierdząc, że: „to ta i tak z tego nie ma żadnego profitu czyli zysku".

Otóż pokażmy, że jeżeli gospodyni umiejętnie a z zamiłowaniem pracuje, to stare, nam ubliżające przysłowie:

„gospodarz tyle nie przywiezie furą
ile gospodyni wyniesie fartuchem",

będzie trzeba zmienić ot tak:

„gospodarz tyle nie przywiezie furą
ile gospodyni p r z y niesie fartuchem".

Zabierając się zaraz z wiosną do tej pracy rozejrzyjmy się naprzód, czy nie ma koło naszego obejścia (zabudowania, podwórka) kawałków ziemi, leżących bezużytecznie. Ot n. p. za stodołą zostawiono tyle miejsca, niby do wjeżdżania, że nie omal cały pułk wojska mógłby na niem ćwiczenia odprawiać; zaraz więc połowę z tego zabierzmy dla siebie. Tak samo za chlewiskiem jest kawałek ładnej ziemi, ale tam tylko łopian, pokrzywy, dzikie konopie i inne chwasty rosną tak bujnie, że nieraz latem nietylko kurczęta w nich giną, że ich znaleść nie można, ale i prosię czasem, jak w nie wpadnie, to i pół dnia choć szukaj. No! dla prosiąt, kur i innego



„Będzie mniej o jednego“

Rysunek A. Grottgera.

drobiu dosyć będzie podwórka, a co już poza podwórkiem, to nasze.

Właśnie te takie miejsca zaciszne pod murami i ścianami, jak raz dobre są na hodowlę jarzyn.

Szkoda żeśmy o tem nie pomyślały przed zimą, gdyż byłybyśmy sobie to wszystko przed zimą skopały i namierzwiły. Ano! Nie było jeszcze wtedy u nas *Przodownicy*, któraby nas była do tej pracy na „wyprzódki“ zachęciła. Teraz więc choć to skopiemy, ale jarzyn żadnych na tem sadzić nie możemy. Chyba na lepszych miejscach, gdzie może ziemie przez długie czasy okryta była barłogiem, plewami i t. d., tak, że się warstwa próchnicowej ziemi utworzyła, można tam nasadzić ziemniaków, lub choćby bulw pastewnych. Resztę zaś koniecznie czemś obsiać musimy, żeby ziemia przez lato nie była wystawiona na spiekotę słońca. Najlepszy będzie łubin, gdyż nietylko ocieni ziemię, ale ją zarazem użyźni. Łubin bowiem ma tę własność, że z powietrza przyswaja sobie dużo żywności tej, która się zowie azotem, a która dla życia wszelkich roślin jest niezbędnie potrzebną. Łubin zatem, jak żarłok jaki, wchłania ten azot z powietrza, ale nie spotrzebuje go wszystkiego, tylko go gromadzi w korzeniach swych, tak, że się aż na nich gmiołki, jakoby torby napełnione tworzą. Można się łatwo zresztą o tem przekonać samemu. Zatem nie czem innem tylko łubinem obsiejemy te nasze dotychczasowe nieużytki. Łubin ten przed zimą zakopiemy, zostawimy tak ziemię surowo skopaną przez zimę, a na przyszły rok wszystko już na ziemi takiej sadzić i siać możemy.

— A cóż to tam gosposiu za pagórek w szczycie chałupy, na którym ot właśnie Staszek stoi i z bicza trzaska, aż mu echo od stodoły odpowiada; a dwuletniemu Józkowi zdaje się, że z tej wielkiej góry cały świat zobaczyć można, więc pracowicie gramoli się na nią, rączynami sobie pomagając.

— E, słyszę odpowiedzi, to tam dziewuchy zawsze śmieci wyrzucają, aż się tego taka góra uzbierała.

— O, to już nie może być inaczej, tylko musimy tę górę zburzyć, choćby się przez to dzieciom zabawa popsuła. Górkę tę rozkopiemy, przerobimy wszystko rydlem do gruntu i ułożymy w kupkę, ale nie stożkowatą, tylko czworokątną równą, trochę nawet brzegami wyższą, jak w trodku, tak, aby deszcz z niej nie spływał. Kupkę tę przez lato przerobimy jeszcze kilka razy, aby ziemia wszystka równo zmurszała, a chwasty wszelkie się zniszczyły. Będziemy miały z tego znakomity kompost na przyszły rok do naszego ogrodu warzywnego.

Na śmieci zaś wybierzemy inne miejsce, choćby zaraz obok, ogrodzimy go ile możności deskami i tam już nietylko śmieci, ale wszelkie odpadki, jako to: chwasty latem w ogrodzie wyrywane, resztki wymiecione z sąsieków i bojowic, i t. p. wszystko to tam składać będziemy. Tam też wylewać będziemy wszelkie kuchenne pomyje, mydliny i t. d. Będzie z tego znowu kupa kompostu, którą przerabiać i sposobić będziemy w przyszłym roku. Tak to, miła gosposiu: takim porządkiem, możemy gospodarzowi przysporzyć mierzwy, gdyż kompost taki bardzo dobry jest także na łąki. Rozsypany na nich wczesną wiosną, twierdzić można na pewno, że przez kilka lat zbiór siana podwoi..

A teraz przejdźmy do ogrodu warzywnego, który zaraz za domem się znajduje. Cały obszar podzielmy szerokimi na trzy stopy ganeczkami na dwie albo i cztery części, tak, aby wszędzie z łatwością dojść można, nie depcząc po zagonkach.

Zagonki na 3 albo 4 stopy szerokie równo pod sznur zrobione, przedzielone bruzdkami miałkiemi, chyba gdzie z natury mokro trochę, są bruzdki głębiej wybrane.

W ogrodzie tym już nas niejedno zielenią swoją raduje. Rozsada, pomimo zimnej wiosny, stoi bardzo ładnie i chyba za kilka dni flancować ją będzie można. Szpinak, redyski już pierwszą dla smakoszów nowalijkę dać mogą. Marchew już widełki pierwsze z ziemi powytykała; pietruszka tylko, która podobno w czasie od zasiania do wzejścia, pielgrzymkę do Rzymu odprawuje, nie zdążyła jeszcze z pielgrzymki tej powrócić. Nic to nie szkodzi; zasiana jest w rządki, więc chwasty pomiędzy rządkami pleć można.

Początek maja, to najlepszy czas do sadzenia ogórków. Chociaż najlepiej położone, świeże mierzwione zagonki przeznaczone pod ich hodowlę, my im jeszcze świeżej bydlęcej mierzwy poddamy.

Środkiem zagonków porobimy dosyć głębokie rowki, nałożymy trochę mierzwy i przykryjemy ziemią.

Kładziemy potem ziarnka, tak co dwa cale jedno śpiczastym końcem na dół i ziemią pulchną przykryjemy. Rowek jest widoczny, więc choćby chwasty powschodziły rychlej od ogórków, możemy je zaraz niszczyć. Brzegiem zagonków naflancujemy sałaty lub posadzimy ćwikły pastewnej, gdyż jedno i drugie zawsze zużyć można.

Gdy ogórki powschodzą, trzeba ziemię koło nich spulchnić, roślinki ogórków poprzerywać, żeby nie stały gęściej, jak na stopę jeden od drugiego. Kiedy dostają drugie listki, powtórzyć spulchnienie i obsypać roślinki do pierwszych listków. Kiedy zaczynają kwitnąć i dostają pędy — rozłożyć owe pędy po całym zagonku, żeby słońce i powietrze miały dostęp jak najlepszy. Za taką pieczołowitość odwdzięczą się ogórki sowicie i tyle nawiążą ogórków, że nietylko sami ich się najemy przez całe żniwa, nietylko nakisimy ich kilka garnów na jesień i zimę, ale jeszcze sprzedać możemy, czy to wyrobnicom we wsi, które własnych ogrodów nie mają, czy też w miasteczku.

Mięso ogórków bardzo mało ma części pożywnych i licho wyglądałby ten, któryby chciał samemi ogórkami się żywić i może jeszcze przytem ciężko pracować. Mają jednak za to własności orzeźwiające, więc jako dodatek do innych potraw, a świeże w połączeniu z mlekiem stanowią potrawę smaczną, zdrową i pożywną.

Z tego powodu każda i najuboższa gospodyni powinna choćby tylko na własny użytek kilka zagonków pod ogórki przeznaczyć.

Kto mieszka blisko miasta, gdzie łatwo mógłby sprzedać ogórki, temu obszerną ich hodowlę gorąco polecić można. Mało licząc można mieć z morgi ogórków 150 reńskich dochodu. Wprawdzie i nakładu potrzeba dużo; ogórki potrzebują ziemi dobrej, pulchnej i w wysokiej kulturze.

Kilka zagonów w naszym ogrodzie, czeka też jeszcze na groch szablasty czyli fasolę. Fasola nie jest tak wymagająca, jak ogórki; kontentuje się ziemią lżejszą, byle pulchną, a świeżej mierzwy wcale nie lubi, woli stać w drugiem, a nawet w trzeciem polu.

Jeżeli mamy zapas tyczek, posadzimy fasoli tyczkowej; jeżeli takowych nie posiadamy, wyszukamy sobie gatunek taki, który sobie po chudopacholiku pieszo chodzi i bez tyczek się obejdzie. Sadzić będziemy po 4 — 5 ziarn w dołeczki o $1\frac{1}{2}$ stopy od siebie odległe, po trzy rzędy na zagonku. Po wzejściu będziemy koło nich ziemię spulchniać i chwasty niszczyć, a kiedy krzaczki trochę podrosną, obsypiemy je aż do liści, aby się i kierzek nie rozpadał i wilgoć około niego utrzymała.

Groch szablasty czyli fasolę, spożywać można tak zielony, jak i suchy.

Do spożycia na zielono używa się całe strąki, dopóki są młode i mają łyka. Strączki starsze zostawia się na krzaczku dla dojrzenia.

Fasola stanowi potrawę bardzo pożywną i zdrową, a ponieważ zadawalnia się ziemią lżejszą i uda się jeszcze w trzeci rok po świeżem mierzwieniu, więc roślinę taką bardzo szanować należy i sadzić wszędzie, gdzie tylko można. W ogródku naszym możemy jeszcze naflancować brukwi, ćwikły, nasiać rzepy, a nie zapomnijmy także nasadzić pomiędzy tem wszystkiem, gdzieniegdzie dyni czyli korbali. Lubią one wprawdzie też ziemię dobrą i pulchną, do olbrzymich rozmiarów wyrosną n. p. na kupach kompostu, ale w biedzie kontentują się i gorszemi warunkami, i urosną jednak i owocem swoim wygodzą gospodyni przez całą jesień, a nawet i adwent, a przyznać trzeba, że na postną potrawę, mlekiem zabielane i zaciereczkami zasypane, smakują dynie wybornie.

Po pod płotami nasadzimy sobie dla ozdoby i użytku słoneczników, kukurydzy, a pomiędzy tem dla parady, gdzieniegdzie tureckiej fasoli.

Aby ten nasz ogródek warzywny nietylko przynosił korzyści, ale także rozweselał oko nasze, przedwszystkiem starać się będziemy przez całe lato utrzymać go w czystości i porządku. Nie pozwolimy warzywom naszym porastać chwastami, nawet ganeczki i bruzdki z chwastów i trawy oczyszczać będziemy, a powyrywanych chwastów nie pozostawimy na kupkach.

W czasie suszy polewać będziemy roślinki nasze, aby wyglądały zawsze świeżo i zielono, a chyba ogródek nasz wyglądać będzie tak, jak go opisuje Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“:

„Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;
Tam, plącząc strąki w marchwi zielonej warkoczu
Wysmukły bób obraca na nią tysiąc oczu:
Owdzie podnosi złotą kitę kukurudza,
Gdzieniegdzie otyłego widać brzuch harbuza (dyni),
Który od swej łodygi, aż w daleką stronę
Wtoczył się jak gość między buraki czerwone“.

Janina O.

Wapno jako nawóz.

Do nawiezienia ziemi wapnem używa się wapna niegaszonego, albo miału wapiennego z pieców wapiennych, lub miału z utłuczonych kamieni wapnistych, skalnych lub polnych.

Skuteczność wapna jest taką, jak i marglu, jeżeli się chce rozwolnić gliny, odkwasić ziemię, dostarczyć jej brakujących cząstek wapiennych, lub pobudzić trudno butwiejące w ziemi cząstki nawozu i próchnicy do szybszego rozkładu.

Jednak, że samo wapno nie zastąpi marglu gliniastego do stężenia piasków i rzadkiej ziemi, przeto w tym razie trzeba przyjść mu w pomoc gliną.

Najczęściej jednak margiel może być zastąpiony wapnem, a wapno marglem; więc którym z nich wypadnie taniej nawozić ziemię, ten będzie korzystniejszy.

Chociaż margiel zwykle mniej kosztuje, niż wapno i dłużej od niego trwa w ziemi, to jednak w razie ciężkości wydobycia i rozwiezienia, korzystniej jest zastąpić go wapnem, bo będąc o wiele lżejszem i mniej na raz potrzebnem, taniej wypadnie, a tak samo skutkuje.

Im częściej wapnują się ziemie, a po trochu, tem wapno jest skuteczniejszem, bo zwykle tam, gdzie nawet żyto i trawy licho się rodziły, to po zwapnowaniu rodzi się dobrze pszenica i koniczyna.

Wapno grunt tęgi gliniasty kruszy i spulchnia, mokry wysusza, kwaśny osładza, zimny ogrzewa, a leniwy czyli nieczynny do rodzenia pobudza. Szczególniej wapno dobrze użyźnia ziemię sapowatą i torfiastą, gdy się ją osuszy ze zbytku mokrości. Częste powapnowanie urodzajnej ziemi, odbiera jej własność wylegania zboża za lada pognojem. Są grunta urodzajne dla niektórych roślin, gdy inne, zwłaszcza groszkowe, rodzić się nie chcą, co najczęściej pochodzi od braku wapna w ziemi. Wapno jeszcze skuteczniej i dłużej działa, jeżeli miejsca nawiezione nim będą jednocześnie nagnojone.

Wapno niezdatne jest dla gruntów sypkich i gorących, bo jeszcze więcej je rozpulchnia i przepala. Gruntom ubogim i jałowym wapno jest szkodliwem, tak jak i margiel, bo szybko zgryzając resztki próchnicy i starych gnojów, wyjaławia je zupełnie polepszonymi z początku plonami, skutkiem czego, nawet obfitsze gnojenie przez długie lata mało jest skuteczne. Trzeba więc dobrze wymiarkować ilość wapna według starej zasobności gruntu i ilości mierzwy, jaką razem z niem można ziemi użyczyć.

Powszechnie, gdzie im bujniej krzewią się chwasty, tam też bezpieczniej i częściej można wapnować. Wapno najskuteczniej poprawia tę ziemię, która go albo nie ma wcale, albo ma bardzo mało, bo wszystkie rośliny, a szczególniej koniczyna, groch, przelot, seradela i inne rośliny strączkowe, bez niego obejść się nie mogą, a zwierzęta, żywione paszą z gruntów, nie mających w sobie wapna, są wątłe i mają słabe kości.

Używa się wapna w bardzo różnej ilości, bo od 4 do 20 ctr. na mórg, co zależy od potrzeby ziemi i roślin na niej uprawianych. Lepiej więc używać wapna mniej, ale częściej dotąd, dopóki skuteczność jego pomnażać się ale i opłacać będzie.

Dla rozkruszenia ciężkiej ziemi, trzeba użyć wapna trzy razy więcej, niż do użyźnienia niem zwykłej ziemi, a prócz tego trzeba koniecznie jednocześnie nagnoić ją tem suciej, im więcej użyje się wapna.

Wapnowanie mokrej ziemi lub w porze deszczowej, jest mało skuteczne i dlatego trzeba przed wapnowaniem mokrą ziemię osuszyć i czekać z niem do suchej pory.

Można wapnować ziemie takim sposobem:

Wapno jeszcze nie gaszone rozstawia się po polu w niewielkie kupki, przesypuje ziemią i z wierzchu się nią okrywa. Im pora, w której się wapnuje ziemię, jest suchszą, to tem lepiej. Gdy wapno całkowicie rozlasuje się i skruszy, a ziemia obeschnie, trzeba je dobrze z nią pomięszać, równo rozrzucić po uprawnej wprzód ziemi, broną dobrze wymięszać, poczem mierzwę rozrzucić i zaraz płytko i drobno przyorać. Przyorywkę przez kilka tygodni często bronować, a po głębszem jej odwróceniu siać przedplony dla kosy, dla pastwiska lub dla zielonego gnoju i dopiero zasiać zboże lub sadzić korzenie. Ziemię z pod kupek wapna trzeba dobrze wybrać i rozrzucić na stronę, bo inaczej przepalają się na niej rośliny.

Miał z pieców wapiennych lub z tłuczonych kamieni wapiennych kopalnianych lub polnych, można odrazu rozsiać po uprawnej ziemi, siejąc z wiatrem, ażeby oczów nie zaprószyć.

Jeszcze raz się powtarza, że wapnowanie wtenczas jest pożytecznem, gdy ziemia jest jednocześnie dobrze namierzwioną, albo ma w sobie sama z siebie dużo próchnicy i butwielizny. Jeżeli ani marglu, ani wapna dostać nie można, a są między kamieniami w polu lub w podwórzu kamienie i skały wapniaste, które poznać można po tem, że są zwykle białawe lub sine, dają się rysować końcem noża i polane mocnym octem pienią się, to je wypalać na wapno, lub tłuc na miał i posypywać nim rolę. Takiego surowego miału wapiennego z tłuczonych skał i kamieni, trzeba użyć dwa razy więcej niż wapna palonego nielasowanego.

Doświadczenia przekonały, że wapno szczególniej jest pożytecznem, gdy się niem nawozi ziemię razem z kainitem, to jest z nawozem

kupnym, mającym w sobie dużo potażu, potrzebnego szczególniej dla traw, zbóż kłosowych, kartofli, buraków i innych korzeni i roślin soczystych.

Listy do „Przodownicy“.

Machów, 1 marca 1901.

Drogie Siostry Polki!

W naszym powiecie jest czytelniczek *Przodownicy* około 409; lecz niestety dowiedziałem się, że gdzieindziej niektórzy ludzie zabraniają dziewczynom i kobietom naszym czytać tę gazetkę. Są to ludzie zacofani, samoluby i ciemni, więc krzyczą aby kobiet i dziewczyn nie oświecać, bo straszne rzeczy nastaną, gdy będą mądre gospodynie. Grożą, że wtedy gotować nie będzie miał kto, ani pracować i gospodarować w domu i zginąć chyba wypadnie..

Chociaż takie gadanie to głupstwo, lecz wiele dziewcząt boi się czytać, bo im nawet powiedziano, że to grzech. Oj ubolewać nad tem i płakać nawet, że się żyje w takim czasie ciemnoty i zacofania...

Dlatego proszę was drogie Siostry Polki o posłuchanie mej rady i szczerej przestrogi:

Każdy naród, może być szczęśliwym jedynie przez światłe kobiety, bo światłe kobiety utrzymują i wychowują naród, i choćby nie wiem jak kto chciał młodzież zepsuć, to nie potrafi dokazać tego, gdy ją dobrze matki wychowują.

Zatem dziwić się należy o co tym ludziom chodzi, co nie chcą, aby nasze kobiety miały oświatę. Gdy będą nasze dziewczyny i kobiety dobre, światłe i cnotliwe, to takie będzie społeczeństwo, a przekonałem się o tem, będąc w Szwajcaryi i Niemczech; tam są wszyscy szczęśliwi i weseli, bo tam każda kobieta czyta różne gazety i książki i przezto są mądre, dobre i cnotliwe, a gotują, szyją i pracują najchętniej. A u nas to płakać, płakać i jeszcze raz płakać nad tem co się dzieje, a tu jeszcze nie chcą trochę dać nam oświaty.

Wszystkie nasze dziewczyny i kobiety powinny czytać gazetki takie: jak *Przodownica* lub *Zorza*; obie one są bardzo piękne i dobre, ale cóż poczną te młode wasze przyjaciółki, jak im pomocy nie dacie i nie otworzycie im serc i chatek waszych? One obie, to dopiero jak nowo narodzone córeczki, potrzebują pomocy i pielęgnowania waszego. Wy powinnyście być dla nich chrzestnemi matkami, zająć się niemi i dać im pomoc, a miłością je otoczyć waszą, t. j. czytać je, zjednywać im nowe czytelniczki, płacić regularnie za prenumeratę, bo one to wasze pociechy w smutkach; a ten co wam je gani to wasz nieprzyjaciel. Nie wierzcie mu, a same się przekonacie, że lepiej czytać niż iść do kumoszek na bajki i potem się włóczyć po sądach lub siedzieć w areszcie. Z gazetkami pogadacie sobie do woli, bo bajek nie robią i nie zmyślają, ani nie obmawiają; owszem doradzą i pocieszą. Znam jedną bogatą gosposię, co za plotki i bajki była zasądzoną do aresztu na 6 tygodni i zapłaciła za koszta sądowe 30 złr. Widzicie, ileby to gazet za to miała a te, uchroniłyby ją od sądu i grzechu.

Drogie Siostry! niechże każda z was czyta *Przodownicę* lub *Zorzę* i niech co rok namówi choćby tylko jedną znajomą kobietę do czytania, a powiadam wam, że utrzymacie gazetkę i będziecie szczęśliwe.

Serdecznie pozdrawiam was i szanuję. Wasz brat z pod słomianej strzechy

W. Wiącek.

Roboty na maj.

Od wzorowego rolnika wymaga się podobno, by do 1 maja ukończył zasiewy. W naszym surowym klimacie rzadko któremu rolnikowi uda się do tego czasu z zasiewami załatwić. Zwykle do połowy maja jest ze siewem do czynienia, lecz to termin ostatni. Skoro rolnik obsiał swe pola, nie powinien zwlekać ze zabezpieczeniem płodów od gradu.

Jestto koniecznem, a czem prędzej się to uskuteczni, tem lepiej. Kukurydzę sadzi się dopiero w połowie maja, nie prędzej, ponieważ jeszcze około połowy tego miesiąca lubią bywać nocne przymrozki, a młoda roślinka kukurydzy bardzo jest czułą na mróz. Zalecamy bardzo uprawę kukurydzy, która rzeczywiście zasługuje, aby ją więcej przy uprawie uwzględniano.

Zresztą polegają prace na gracowaniu zbóż (uprawa rzędowa). Ziemniaki skoro wzejdą, należy w poprzek zbronować, później obradlać, aż nie zakwitną. Buraki wymagają szczególnej pielęgnacyi. Mówi się, iż od buraka pracy nie można odkładać. To znaczy, że bezustannie tępić trzeba

zielska a rolę spulchniać. W koniczynie tępić gniazda kanianki. Czysty siew jest najlepszą ochroną, to też czyste (pod gwarancyą wolne od kanianki ziarno) tylko można wysiewać. Skoro się już raz pojawi, to tępienie polega na skoszeniu a następnie skopaniu miejsca. Przed skopaniem wapnuje się miejsce.

W ogrodzie dużo do roboty. Zielsko ciągle tępić. Przysiewać zawsze świeży siew warzyw i t. d. Jeżeli susza, pilnie podlewać, wodą ustałą.

Inwentarze. Z paszy suchej na zieloną zwolna przechodzić. Najlepiej rżnąć zieleninę ze słomą na sieczkę, co jest najrozumniejszym i zdrowym sposobem pasienia. Na pastwisko nie prędzej wyganiać, aż trawa dostatecznie podrośnie, aby inwentarz znalazł dostatecznie paszy. Na czczo nie wyganiać nigdy, dopiero po podaniu suchej paszy (słoma, siano) w stajni. Strzedz bydło przed odęciem.

ROZMAITOŚCI.

W dniu 24 marca w r. 1794 przy odgłosie dzwonów z Zygmuntem wawelskim na czele, przysiągł Tadeusz Kościuszko na Rynku krakowskim, że „oręża z rąk nie wypuści, dopóki z Ojczyzny wrogów nie wypędzi; że powierzonej Mu władzy użyje tylko dla dobra ludu“.

Rocznicę tę obchodzą uroczyście w Krakowie. Obywatelstwo, młodzież i rozmaite instytucye przez urządzenie nabożeństw solennych i wieczorków i składaniem wieńców na miejscu przysięgi i kopcu Tadeusza Kościuszki.

Dzień 4 kwietnia jest dniem chwały całego narodu, bo w dniu tym nastąpiło pierwsze zbratanie się stanów na polu Racławickiem. W dniu tym walczyli w obronie Ojczyzny szlachta, mieszczanie i chłopi, a ci — pod wodzą Bartosza Głowackiego przechylili zwycięstwo na stronę Polaków. Dla włościan dzień ten powinien mieć wielkie znaczenie, bo włościanie powołani przez Tadeusza Kościuszkę, biorąc udział w walce narodowej, tem samem już się stali równi innym stanom, stali się Obywatelami kraju.

Więc ten dzień zwycięstwa niech będzie wielkiem świętem ludowem w całej naszej Ojczyźnie, niech w każdym Jej zakątku zabrzmi modlitwa: „Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie“ i pieśn „Jeszcze Polska nie zginęła“.

W zimie ubiegłej niezwykle obfitującej w śniegi, na wszystkich kolejach z wielkim wysiłkiem oczyszczano tory kolejowe. Pociągi więc chodziły wązkimi korytarzami ze śniegu o obmarzniętych i śliskich ścianach.

W końcu lutego 50 robotników oczyszczało plan kolejowy na linii Wołowo-Smoleńsk kolei kazańsko-uralskiej w głębi Rosyi.

Nagle usłyszeli za sobą turkot zbliżającego się pociągu. Nastąpiła straszna scena. Jedni, straciwszy przytomność, biegli po torze, chcąc uciec przed pociągiem, drudzy poczęli wdrapywać się na śliskie ściany i spadali na dół. Inni stali jak słupy, nie widząc nigdzie ratunku.

Pociąg dopędził tłum... Rozległy się straszne krzyki i jęki. Tych, którzy wdrapali się na ściany, pociąg zaczepił stopniami wagonu i zrzucał pod koła, innych doganiał i gniótł na miazgę. Z ciał zabitych, rannych i pokaleczonych utworzyła się taka masa bezkształtna, że koła parowozu zatrzymały się same przez się.

Liczba ofiar wynosiła 30 osób. Pokaleczonych i umierających przewieziono do szpitala kolejowego w Kozłowie.

Wychodźctwo z kraju za robotą do Prus i Saksonii, rozpoczęło się tego roku znacznie wcześniej i w większej masie, aniżeli lat poprzednich. Wychodźctwo rozpoczęło się już w połowie lutego, a w ostatnich dniach przejeżdżało codziennie przez Kraków po kilkuset włościan. W przybliżeniu obliczają, że już odtąd około 30.000 robotników wyjechało z kraju, między nimi mnóstwo młodych chłopców i dziewcząt w wieku od lat 14—17.

Niestety, nie wszyscy ci robotnicy mają zapewniony zarobek. Coraz częściej słyszeć można o strasznej nędzy, której stają się ofiarą. Aby dać obraz nędzy robotników, przybywających do Prus, przytoczymy fakt następujący. Rodzina Grzesiów, złożona z ojca, matki i dwojga chłopców, przybyła do Wrocławia z Kolbuszowej. Tydzień szukali pracy napróżno, włócząc się bezradnie po ulicach, tak że od 3 dni byli pod gołem niebem i bez pożywienia. Kobieta i dzieci mdlały poprostu z wycieńczenia. Uderza przytem wielka ilość dzieci przybyłych z emigrantami. Jeżeli już tyle setek ludzi tam się puszcza, powinna przecież istnieć jakaś opieka nad niemi. Często po parę dni siedzą na granicy dla trudności, które im robią władze graniczne. Wreszcie przybywszy do Wrocławia, wyrzuceni z wagonów, stoją setkami przed głównym dworcem, nie wiedząc dokąd się ruszyć. Potem rozpoczyna się bezce owa wędrówka za pracą po całych dniach, w której szybko się wyczerpują ich zasoby. Szczęśliwi ci, których policya aresztuje jako włóczęgów, ale dzieje się to rzadko, bo areszty dla tak wielu ludzi nie mogą wystarczyć. Na konsulat liczyć też nie mogą ci nieszczęśliwi, bo przeniósł on się tak daleko za miasto, że znaleść do niego drogę trudno. Przed tygodniem

znów przybyło do Krakowa z Mysłowic kilku włościan galicyjskich w bardzo nędznym stanie. Zaraz po przybyciu zawiadomili władzę, że padli ofiarą niesumiennego wyzysku przy poszukiwaniu zarobku przy robotach rolnych w Prusiech i Niemczech. Według ich stwierdzonego opowiadania, przed kilku dniami przybył do Grobli „jakiś pan“ z Prus i zaczął namawiać do wychodźctwa na roboty polne, obiecując złote góry; pokazywał jakąś książeczkę, mówiąc, że jest przez króla uprawniony do werbowania ludzi w całej Galicyi; pokazywał też zielony arkusz papieru, który miał być kontraktem, zapewniającym sute zarobki. Cyfry zarobku po 2 i 3 marki dziennie, oprócz wspaniałego wiktu, sypały się z ust owego „pana“.

Wielu dało się namówić i partya z 29 złożona, pojechała z owym „dobrym“ panem do Mysłowic, dokąd przybyli dnia 19 marca. Mieli jechać zaraz do Prus; tak się jednak nie stało; musieli czekać dni kilka, a zamiast dobrego przyobiecanego pożywienia, otrzymywali fusy, nazwane kawą, z dwoma bułkami dziennie. Nareszcie 22 b. m. przybył jakiś agent z Prus i odkupił od owego pana galicyjskich robotników, płacąc mu 10 marek od osoby. Przybyły z Prus agent nie zabrał wszakże wszystkich ludzi; z gromady wybrał silniejszych; kilku słabszych pozostawił na miejscu. Nie pomogły prośby i zaklęcia, zwracane do obydwóch spekulantów: wybrakowani pozostać musieli na bruku w Mysłowicach. Kilku z nich za ostatni grosz powróciło do Krakowa; nazwiska ich następujące: Wojciech Trzesiec, lat 18; Paweł Klasa, lat 17; Jan Cieśla, lat 19; Paweł Biel, lat 16. Jeden z nich Czachurski nie miał za co powrócić i bez grosza pozostał w Mysłowicach. Jaki go los czeka, łatwo sobie można wyobrazić.

Koło włościańskie Towarzystwa „Szkoły ludowej“ (powiatowe), zawiązało się w Tarnobrzegu. Zebranie zwołał włościanin z Machowa, Wojciech Wiącek. Przybyli na to zgromadzenie dwaj zaproszeni delegaci zarządu głównego Towarzystwa „Szkoły ludowej“ z Krakowa, pp. Dr. Zygmunt Balicki i Dr. Stanisław Kozicki.

Zgromadzenie miało się odbyć w sali teatru amatorskiego, taka się jednak moc ludu zebrała, że sala okazała się za szczupłą. Przeniesiono się więc na dziedziniec szkolny i obradowano pod otwartem niebem.

Po wyborze przewodniczącym włościanina z Zaleszan Mączki, zabrał głos p. Wojciech Wiącek, który między innemi mówił:

„Nie można poprzestawać na wykształceniu, odebranem w szkole ludowej. Szkoły po wsiach przepełnione są dziećmi; nauczyciel, choćby chciał, nie może ich należycie uczyć. Trzeba, byśmy założyli sobie włościańskie Koło Towarzystwa „Szkoły ludowej“ — przy niem urządzimy sobie czytelnię ludową, w niej będziemy mieli dużo dobrych książek i gazet. Następnie powinniśmy zakładać takie Koła i czytelnie w różnych gminach w naszym powiecie“.

W końcu wykazywał korzyści, jakie mogą mieć włościanie, wchodząc do Towarzystwa „Szkoły ludowej“. Po nim zabrał głos Dr. Balicki z Krakowa. Mówił o znaczeniu prawdziwej oświaty, o celach Towarzystwa „Szkoły ludowej“, a skończył mniej więcej tak: „Cześć ludowi tarnobrzeskiego powiatu, cześć mu za to, że pierwszy przystępuje do Towarzystwa „Szkoły ludowej“, Przez zakładanie Kół tego Towarzystwa, przez organizowanie się i oświecanie możemy się najpewniej odrodzić, odbudować. Przemawiał jeszcze p. Józef Lang, mieszczanin z Tarnobrzegu, wzywając wszystkich, by się w imię miłości Chrystusa łączyli i pracowali wspólnie. Wreszcie p. Wiącek wezwał zebranych, by każdy, kto może, przystąpił do miejscowego Koła Towarzystwa „Szkoły ludowej“ i uiścił roczną wkładkę 2 Korony. Na miejscu, wpół godziny zapisało się 110 członków, ci utworzyli „Koło włościańskie Towarzystwa „Szkoły ludowej“ w Tarnobrzegu“. Wybrano zaraz zarząd Koła, złożony z 6 członków, samych włościan. Postanowiono założyć przy „Kole“ czytelnię ludową. Pod koniec wszyscy zgromadzeni włościanie podziękowali pp. delegatom z Krakowa, że dopomogli do zawiązania włościańskiego Koła Towarzystwa „Szkoły ludowej“ w Tarnobrzegu.

Deszcz krwawy w Zakopanem. Wieczorem we środę dnia 13 marca pojawiła się na błękitnem niebie potężna chmura pomarańczowa. Rzuciła na śniegi rudawy odblask. Potem w nocy powstał gęsty deszcz. Nazajutrz rano na oknach mieszkań zakopańskich można było spostrzedz ślady pozostawione przez ten deszcz. Cienka powłoka rdzawa powlekała szyby. Pył ten okazał się bardzo drobnym piaskiem kwarcowym, pełnym czerwonych ziarnek. Pochodzi on z Sahary z Afryki. Naniesiony został stamtąd wiatrami i spadł na ziemię razem z deszczem. Zakopańska chmura była jedną z najbardziej na północ wysuniętych chmur, które w Palermo, Neapolu i t. d. deszcz krwawy wywołały.

Dzielni włościanie. Ze Środy, w Poznańskiem, donoszą do „Dziennika Poznańskiego“, że gospodarze gmin Januszowic i Mierocina, sprzeciwili się zmianie nazwy gminy Januszowice na Janscheld i rozporządzenia nie podpisali, gdyż tylko wtedy może być zmiana nazwy dokonaną, gdy się obywatele na to zgodzą.

Przepisy na baby Wielkanocne i placki serowe tak zwane krakowskie, podawałyśmy w roku zeszłym Szanownym Czytelniczkom; obecnie podajemy inne przepisy ciast Wielkanocnych jako to:

Baby z razowej mąki. 6 łutów (czyli 75 gr.) drożdży rozpuścić w letniem mleku, dodać funt (czyli 500 gr.) razowej mąki, funt (czyli 500 gr.) mąki pszennej, 12 łutów (czyli 150 gr.) tartych słodkich migdałów, 16 łutów (czyli 200 gr.) sułtańskich rodzynków, pół funta (czyli 250 gr.) cukru, pół funta (czyli 250 gr.)

świeżego masła i 8 ubitych dobrze jaj; wszystko to razem dobrze wymięszać, dodać trochę letniego mleka i postawić na ciepłe miejsce, aby ciasto rosło. Gdy dobrze wyrośnie wyrzucić to ciasto na stolnicę mąką pszenną posypaną, wyrobić go dobrze, ażby od rąk odchodziło, a potem wkładać we formy dobrze masłem wysmarowane i ustawić na piecu, aby urosło. Gdy urośnie po brzegi formy, piec dobrze przez godzinę i ćwierć w piecu ogrzanym. Uwaga: Do form wkłada się ciasto tylko do połowy formy, aby gdy wyrośnie nie wykipiało. Po upieczeniu posypuje się miałkim cukrem.

Placek Wielkanocny chlebowy. Funt chleba razowego (czyli 500 gr.) bez skórki, łamie się w kawałki i namacza w wodzie, aby te kawałki chleba rozmiękły. Potem osiem żółtek dobrze ubitych z ośmioma łyżkami cukru dodaje się do tego rozmiękłego chleba, dalej 12 łutów (czyli 150 gr.) utartych na tarle lub utłuczonych migdałów słodkich, rodzynków sułtańskich 6 i pół łuta (czyli 80 gr.), ćwierć funta masła (czyli 125 gr.) i pozostałą pianę z 8 jajek dobrze ubitą. Wszystko to razem wkłada się do tego rozmiękłego chleba, dobrze się wymięsza łyżką czystą, a po wymięszaniu wkłada się do formy, wysmarowanej masłem i piecze przez jedną i ćwierć godziny. Placek znakomity a tani.

Placek z maku. Ćwierć funta (czyli 125 gr.) siwego maku utrzeć dobrze z mlekiem, wbić do niego 3 żółtka, dodać 8 łutów (czyli 100 gr.) masła, 3 łyżki cukru, 12 łutów (czyli 150 gr.) pszennej mąki i ubitą pianę pozostałą z 3 żółtek. Wszystko razem dobrze wymięszać i wlać w formę wysmarowaną masłem i mąką wysypaną i piec przez jedną i ćwierć godziny.

Placuszki dla dzieci z grochu. Ugotowany żółty groch zmięszać dobrze z trochą masła, dodać siekanej cebuli, dwą jajka i trochę tartej bułki. Wszystko dobrze wymięszać, a gdy się z tej masy zrobi dosyć twarde ciasto, rozwałkować go, potem pokrajać na nieduże płatki i przesmażać na obu stronach. Bardzo dobre i zdrowe ciasto dla dzieci i dorosłych.

PYTANIA i ODPOWIEDZI.

Szan. Bartłomiejowi Wielgusowi za 20 prenumeratorek zjednanych, równocześnie z dwudziestoma dla nich egzemplarzami „Przodownicy" wysyłamy trzy piękne powieści historycznej treści Henryka Sienkiewicza w sześciu tomach, a mianowicie: „Ogniem i mieczem", „Potop" i „Pan Wołodyjowski". Czy Szanowny Czytelnik je odebrał proszę nas kartką zawiadomić. Powieści to prześliczne; będą miały dość Szanowne Czytelniczki i Czytelnicy do czytania w chwilach wolnych od pracy.

Szan. Janowi Dudzie dwa kalendarze i książeczkę p. t. „Jak się objawia życie ludzkie" wysłałyśmy.

Szan. zaś **Annie Szczepańskiej** również wysłano 7 egzemplarzy „Przodownicy", kalendarz p. t. „Gospodarz", „Pieśni polskie" i powiastkę p. t. „Maciek w powstaniu" Sewera Maciejowskiego.

Zawiadamiamy tych Szan. prenumeratorów, którzy przesłali przekazem pocztowym roczną prenumeratę za „Przodownicę" w kwocie 50 ct., że ją otrzymała administracya.

Zarazem donosimy, że z miłą chęcią czekać będziemy na prenumeratę od tych, którzy proszą o zwłokę, ufając i wierząc, że dotrzymacie słowa drogie Czytelniczki i Czytelnicy; nie posądzamy ani na chwilę, ani przypuszczamy, aby za korzystanie z tego pisemka, które Wam przyjacielskiemi radami służy ta mała bardzo opłata nie zapłaconą nam została.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka.**

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.